

– Niy bydom nam mendy pona wojewody rozkazywać! – odparł herszt, uderzając pałą o otwartą dłoń.

– Rozejść się w imieniu prawa! – rozkazał Jerzy formalnym tonem. – Stawianie oporu władzy podlega odpowiedzialności karnej!

Tamci, słysząc jego akcent, tylko się paskudnie uśmiechnęli.

– Ciuli z Polska serdecznie prosim ma plecybit...

– Bańczyk! – rzucił półgłosem Drwęcki.

Podkomisarz przez otwarte okno samochodu podał im drąg od drzewek.

Któryś z bojówkarzy parsknął śmiechem, po czym wszyscy kupą ruszyli do ataku. Pierwszy donośny stukot zderzającego się drewna zbiegł się z przenikliwym świergotem policyjnego gwizdka, w który co sił dmuchnął kierowca.

Nadkomisarz płynnym zwodem zszedł z drogi najbliższemu napastnikowi, końcem drąga łupnął go w nerkę i popchnął, rozciągając bezwładnie na bagażniku auta. Następnego zaatakował, markując cios w szczękę, lecz zamiast tego zawinął drugim końcem z dołu i trafił między nogi. Delikwent stęknął ciężko, ale o dziwo ustał. Drwęcki, nie tracąc czasu na podziwianie jego wytrzymałości, czym prędzej poprawił pod żebra temu na bagażniku, żeby ów z kolei nie wstał za szybko.

Starszy przodownik Kruk zaczął z rozmachem. Wywinął drągiem młynka i z półobrotu uderzył swojego przeciwnika pod kolana, jakby kosił łąkę. Bojówkarz siadł gwałtownie na chodnik, po czym dostał drugim końcem w łeb, aż zadudniło. Niestety, mózgu najwyraźniej nie nosił w czaszce, bo zaczął wstać jakby nigdy nic. Żeby padł, Kruk musiał mu poprawić jeszcze dwa razy, raz jednym, raz drugim końcem wirującego jak wiatrak drąga.

Drwęcki tymczasem starał się zwalić z nóg tego z obitym przyrodzeniem, ale mu nie wychodziło. Trafił w splot słoneczny, potem w brodę, i to uderzeniami, które winny powalić wołu, ale przeciwnik zrobił tylko chwiejny krok do tyłu. Zupełnie jakby odlano go z żelaza. Widać nie przypadkiem został przy-

wódcą tej bojówki. A było jeszcze dwóch następnych, którzy cofnęli się w pierwszej chwili, zaskoczeni biegłością policjantów, ale teraz z furią przyszliznęli na pomoc kamratom. Na nadkomisarza spadł grad ciosów. Pierwszy zbił, przed drugim się uchylił, trzeci sparował i to był błąd. Siła uderzenia była tak potężna, że palce Drwęckiego omal nie wyskoczyły ze stawów. Z największym trudem udało mu się utrzymać drąg. Nadkomisarz zdał sobie sprawę, że jako inteligent od papierkowej roboty ma stanowczo zbyt duże braki w kulturze fizycznej, aby skutecznie mierzyć się z przedstawicielami proletariatu przemysłu ciężkiego. Wojskowa wprawa to jednak było za mało i Jerzy musiał zrejterować do rysztołka.

Ale jeszcze nadrobił doświadczeniem. Atakujący przedwcześnie wzięli jego taktyczny odwrót za ucieczkę i uznali, że teraz Drwęckim zajmie się ich kompan, który właśnie, dysząc żądzą zemsty, zdołał zleźć z bagażnika, sami zaś ruszyli na Kruka. Nadkomisarz skoczył za nimi od razu, w przelocie bijąc swojego pierwszego przeciwnika w gołę, po czym na odlew przygrzmocił w plecy jednemu ze swoich niedoszłych pogromców, wybijając go z rytmu, a następnie znowu się cofnął i istic katowskim ciosem w kark zwałił tego przy bagażniku twarzą na bruk.

Mimo energicznej odsieczy Drwęckiego, Kruk nie zdołał uniknąć wszystkich ciosów. Dostał z boku tak mocne uderzenie w żebra, że musiał oprzeć się na swoim drągu, by utrzymać równowagę i ponownie złapać oddech. Przeciwnicy jednak też potrzebowali przerwy i na znak przywódcy cofnęli się do bramy, zostawiając na chodniku dwóch nieprzytomnych kompanów.

Zniecierpliwiony nadkomisarz machnął ręką na kierowcę, żeby przestał gwizdać, bo od tego świdrującego dźwięku głowa puchła mu tak, jakby spadł na nią tuzin pałek.

– Skujcie ich! – pokazał szoferowi powalonych bojówkarzy, a następnie dał znak Krukowi, by szedł za nim.

Razem wkroczyli do bramy.

Tamci trzej już otrząsnęli się z zaskoczenia i otrzymanych razów i nie zamierzali rezygnować. Stanęli teraz w szeregu, zdecydowani walczyć razem i osłaniać jeden drugiego. Na łatwe rozstrzygnięcie starcia policjanci nie mogli liczyć.

– Nie poradzimy, panie nadkomisarzu – mruknął Kruk, wciąż z wysiłkiem łapiąc oddech. – Za twarde pierony...

Drwęcki oszacował gotowość przeciwników i musiał przyznać mu rację. Na całkowite rozgromienie chadeckich bojówkarzy i przedarcie się do mieszkania Hajnola szanse były niewielkie nawet wtedy, gdyby starszy przodownik nie był kontuzjowany. Sekretarz Korfanteo na pewno usłyszał już odgłosy bijatyki i zbierał się do ucieczki.

– Nie poradzimy – Jerzy zgodził się z Krukiem. – Ale tym bardziej łobuzom nie ustąpimy... – zrobił krok naprzód unosząc drąg.

Huknął strzał.

Kula uderzyła w sklepienie bramy, powodując rzęsisty deszcz okruchów tynku i wzbijając wielką chmurę pyłu. Odbity pocisk uderzył następnie w posadzkę, od niej też rykoszetował, krzesząc przy tym kilka długich iskier, dalej łupnął w ścianę, wleciał na klatkę schodową, z brzękiem odbił się od żeliwnej poręczy i głośno stukocząc, stoczył się po kamiennych stopniach. Wszystko to przy akompaniamencie metalicznie dudniącego w bramie echa wystrzału.

Łączny efekt akustyczny pobił na głowę najnowocześniejsze dźwiękowe westerny, akurat wchodzące do kin. Zarówno policjanci, jak i bojówkarze odruchowo schowali głowy w ramiona.

– Ciepnać mi te lagi na ziemia! – zawołał stanowczo strzelec, czyli Bańczyk. – Ino, ajn moment!

– Co to było, do cholery?! – Drwęcki obejrzał się na młodego policjanta.

– Czeska zbrojowka, panie nadkomisarzu – Bańczyk musiał otworzyć dłoń, by pokazać ukryty w niej niewielki pistolet. –

Mała rzecz, a dobrze wali... – No już! – znów zwrócił się do bojówkarzy, pewnie chwytając broń. – Bo kolana przestrzele i na żadną szychę więcej nie pójdziecie!

Groźba poskutkowała. Przeciwnicy rzucili pałki i podnieśli ręce do góry. Kruk z szoferem kazali im usiąść pod ścianą i zaczęli ich skuwać, sprawnie i z pomysłem, łącząc prawą rękę jednego z lewą nogą sąsiada. W tym systemie czterech par kajdank, które mieli ze sobą, starczyło na pięciu bojówkarzy. Ci z ulicy, o dziwo, już o własnych siłach dołączyli do kolegów w bramie, aczkolwiek na czworakach, bo też byli skuci na zasadzie nadgarstek do kostki..

– Jesteście aresztowani za stawianie oporu władzy! – zakomunikował im Kruk.

– Może ja nie jestem z tego pokolenia, które granice niepodległej ojczyzny wytyczało – powiedział z dumą podkomisarz – ale za to wiem, co to jest techniczna przewaga uzbrojenia... Idziemy po Hajnola?

– Wiecie aby którydy? – spytał Drwęcki z cierpkim uśmiechem.

– Tylnymi schodami, panie nadkomisarzu! – odparł służbiście Bańczyk.

– Frontowe, w zaistniałej sytuacji, w ogóle możemy sobie darować...

Pobiegli. Podkomisarz przodem. On pierwszy odnalazł właściwą kuchenną klatkę schodową i ruszył na górę. Drwęcki pozostał w progu drzwi wejściowych, aby mieć na oku także podwórko. Tu jednak nie działo się nic istotnego.

Za to gdzieś nad Jerzym rozległ się gwałtowny łomot, ktoś stęknął głośno, po czym ze schodów, na łeb na szyję, stoczył się jakiś człowiek, zatrzymując u stóp Drwęckiego. Ten nie zadał sobie trudu identyfikacji ciała podkomisarza Bańczyka, tylko patrząc w górę, przestąpił bezwładnego mężczyznę, odbezpieczył rewolwer i uważnie zlustrował wyższe piętra. Chwilę później zleciała stamtąd solidnie wypakowana walizka. Niewątpliwie nie spadła sama, tylko ktoś nią rzucił, celując w ludzki cień